

III. ARTYKUŁY RECENZYJNE

JÓZEF MATUSZEWSKI (Łódź)

Spór o zaginioną kronikę

(W związku z pracą Gerarda Labudy, *Zaginiona kronika w Rocznikach Jana Długosza*)*

Jak wiadomo, gdy wchodzimy [...] na grunt zaginionych źródeł, wszystko staje się grząskie, G. Labuda, *Kroniki genealogiczne*, s. 53.

1. Niewiele miała Polska kronik. Z tym większą radością przyjmuje historyk wiadomość o wykryciu jednej więcej. Dokonał tego znany uczo-ny poznański, prof. Gerard Labuda. Zapowiedział ją w początku 1983 r. w wywiadach udzielonych „Życiu Warszawy” i „Głosowi Wielkopolskiemu”. Wywiady owe utrzymane są w tonie absolutnej pewności. Mówi się w nich o bombie¹. Rzecz więc ogłaszana z niesłychanym wigorem propagandowym. Wszakże naszemu zadowoleniu z odkrycia nie znanego dotąd źródła, a równocześnie zaciekawieniu nową kroniką towarzyszył pewien niepokój: czy to nie ta sama, z której koncepcją wystąpił prof. Labuda przed 25 laty, ogłaszając artykuł poświęcony wojnie z Tatarami w 1241 r.²? Okazuje się, że tak właśnie sprawa się przedstawia. Nowe dzieło jest zatem odgrzaniem starego, ćwierć wieku liczą-

* W t. XXXVI, z. 1 (1984) Czasopisma Prawno-Historycznego ukazał się artykuł recenzyjny o książce Gerarda Labudy Władysława Sobocińskiego. Ze względu na wagę tematu, jak i ze względu na to, że uwagi W. Sobocińskiego dotyczyły także prac J. Matuszewskiego, redakcja uznała, że celowe jest opublikowanie również artykułu recenzyjnego o książce G. Labudy pióra Józefa Matuszewskiego (od redakcji).

¹ Skłonność prof. Labudy do występowania z pozornymi sensacjami naukowymi stwierdza J. Strzelczyk, *Goci — rzeczywistość i legenda*, Warszawa 1984, s. 86.

² G. Labuda, *Wojna z Tatarami w roku 1241*, PH 50, 1959, s. 189-224.

cego pomysłu. Przekonaliśmy się o tym, gdy wkrótce po owych wywiadach ukazała się na rynku księgarskim monografia poświęcona wspomnianemu odkryciu. Ona jest tematem naszych uwag.

2. Omawiane dzieło jest dużych rozmiarów, obejmuje niemal 27 arkuszy wydawniczych, 308 stronic dużej ósemki, z wkładką na kredzie po s. 176³. Prezentuje się ono wspaniale. Wskazane rozmiary są zastanawiające, gdy zważymy na to, że traktuje ono głównie o „zatrąconej” kronice, a więc takiej, której nie ma, bo zaginęła, jak tytuł zaznacza. A może jej nigdy nie było? Może domysł Autora jest nietrafny? Tej ewentualności wyłączyć nie wolno, przy każdej hipotezie należy się z nią liczyć. Nie sposób zatem nie okazać zdumienia, jak można było tyle stronic napisać o domyślnym tylko, a więc może nigdy nie istniejącym zabytku; czyżby *ars combinatoria* mediewisty była w stanie zapłacić ewentualną źródłową lukę w tak znacznym stopniu?

3. Autor zdawał sobie sprawę z tej paradoksalnej *prima facie* sytuacji. Dlatego tłumaczy się przed czytelnikiem, że duże rozmiary pracy nie były zamierzone. Wierzymy w to chętnie. W każdym razie przyznać trzeba, iż nie lada to przedsięwzięcie. Tylko znawca problematyki tej klasy, co prof. Labuda, mógł się go podjąć. Przy wskazanej objętości książki miał on zatem możliwość wypowiedzenia się w pełni. Najdrobniejszy nawet szczegół, przemawiający za jego tezą, musiał znaleźć w rozprawie miejsce.

4. Zrozumiałe, z jakim zainteresowaniem rzuciliśmy się do lektury książki. Znalazło ono zresztą zachętę ze strony Autora, który czeka na „rezultat zaczynającej się na dobre dyskusji” (297)⁴. Niech w niej i naszego głosu nie zabraknie. Tym bardziej że sami ją rozpętailiśmy, oceniając surowo jego *Wojnę*⁵. To naszą *Relacją* poczuł się Autor „przywołany do tablicy”, jak się wyraził w uprzejmej, acz złośliwości nie pozbawionej dedykacji, zamieszczonej w egzemplarzu autorskim, który zechciał nam ofiarować. Traktujemy ją wręcz jako wyzwanie do pojedynku, do szlachetnego pojedynku na pióra. Stajemy przeto na udeptanej ziemi. Jeśli nasza *Relacja* stanowi krytykę *Wojny* prof. Labudy, omawiane tu jego studium jest bardzo obszerną repliką. Na nią reagujemy dupliką. Pragniemy po prostu z Autorem się pokłócić.

5. Dla tego celu wskazane będzie — sądzimy — króciutkie przypomnienie *status causae*. W swym artykule z 1959 r. stawiał prof. Labuda tezę następującą: opis Długoszowy bitwy pod Legnicą jest wia-

³ *Zaginiona kronika w Rocznikach Jana Długosza*, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, seria Historia, nr 106, Poznań 1983.

⁴ Książka wzbudzi ożywioną dyskusję polonistów i historyków, pisze K. Olejnik, *Odkrycie zaginionego źródła*, Nurt 1983, nr 6, s. 12–13.

⁵ J. Matuszewski, *Relacja Długosza o najeździe tatarskim w 1241 roku. Polskie zdania legnickie*, Łódź 1980.

rygodny. Dziejopis nasz oparł się na zaginionej roczniku-kronice dominikańskiej (dalej: RKD), zredagowanej krótko po katastrofie. Świadczy o tym głównie Carl Gromann. Kto to zacz? Kapłan z Tworka pod Raciborzem, który w latach 1810 - 1811 opublikował artykuł pt. *Nachrichten über Ratibor* w organie — podkreślmy to — noszącym tytuł „Allgemeiner Anzeiger des oberschlesischen patriotischen Instituts für Landwirthe, Kaufleute, Fabrikanten und Künstler”.

6. A oto *status controversiae*. Wspomniany Gromann stał się podstawą wywodów Labudy w sytuacji zaiste kuriozalnej: do niego nie zdołał on dotrzeć! Oparł się jedynie na paru wyimkach z „dzieła” Gromanna, umieszczonych w pracy śląskiego historyka z 1861 r. To go upoważniło do ogłoszenia Gromanna źródłem lepszym nawet niż Długosz. W konsekwencji Autor wysunął z niego daleko idące wnioski o przebiegu pierwszego najazdu tatarskiego z 1241 r. Jest rzeczą ewidentną — nie wchodząc zupełnie w meritum zagadnienia — że nie postąpił tu *lege artis*, że popełnił rażący błąd w sztuce. Kapłanka nasza, Klio, w żadnym wypadku nie pozwala na to, by historyk wyrażał opinię — przy tym tak pochlebną — o pracy, której nie zna, której nigdy nie miał w ręku. Tak postępować nie wolno. Powołanie się na intuicję nie tu nie pomoże. To był krok pochopny, graniczący wręcz z lekko-myślnością. Tym bardziej że prof. Labuda nie mógł nie wiedzieć, że tak zasłużony badacz dziejów śląskich, jak C. Grünhagen, który elaborat Gromanna znał, przeszedł nad nim do porządku. Co więcej, obie niemieckie bibliografie dziejów Śląska nie raczyły nawet zanotować owej publikacji stanowiącej rzekomo źródło. Czy to nie zastanawiające?

7. Prof. Labuda stara się dzisiaj usprawiedliwić, dlaczego do Gromanna nie dotarł (200⁵³). Nawet gdyby uznać owe ekskuzy za rzetelne, nie uzasadniają one w żadnym razie stanowiska zajętego przez Autora przy pisaniu inkryminowanego artykułu w 1959 r. Żadna insynuacja tu nie pomoże. On Gromanna nie znał. I to istotne. Ówczesna sytuacja Autora pozostaje wciąż ta sama, a zmienić jej nie sposób: ponieważ Gromanna nie znam, awansuję go na źródło, może nawet swą wartością przewyższające Długosza. Tego warsztatowego błędu żadne tłumaczenie nie zdoła usprawiedliwić. Wszelki trud daremny.

8. Z tą pochopną tezą prof. Labudy byłoby jeszcze pół biedy, gdyby nie zajmował on w naszej historiografii pozycji eminentnej. Ona to sprawiła, że jego koniekturę o istnieniu RKD, w ówczynie istniejących warunkach niedopuszczalną, nauka nasza przyjęła jako uzasadnioną „trotz der auffallenden Schwächen dieser Konstruktion”⁶, a co zwłaszcza ważne — znalazła ona pełne uznanie mało krytycznych wydawców *Annales seu cronicae*, którzy się podpisali pod nią bez zastrzeżeń. To jej

⁶ W. Irgang, rec. w *Zeitschrift für Ostforschung* 31, 1982, z. 2, s. 277 - 278.

daje szansę utrzymania się zarówno w fachowej literaturze naukowej, jak i w świadomości historycznej Polaków przez najbliższe sto lat. Temu właśnie historycznemu fałszowi pragnęła nasza robota zapobiec.

9. Prof. Labuda dotarł obecnie do Gromannowego dzieła z raciborskimi wiadomościami, zapoznał się również z naszym stanowiskiem. Znalazł się zatem w sytuacji z gruntu nowej. W niej zarysowały się przed nim trzy możliwości wyboru: 1) oświadczyć z całą otwartością, że przed 25 laty padł ofiarą swej młodzieńczej (?) lekkomyślności. To by mu ujmę nie przyniosło, lecz wskazywało na odwagę wyrzeczenia się głoszonej niegdyś przez siebie błędnej tezy oraz na odwagę stwierdzenia publicznie jej niezasadności. Naszym zdaniem byłoby to dla niego wyjście najlepsze i najhonorowsze. 2) Gdyby takie *confiteor* przychodziło mu zbyt ciężko — znamy dobrze psychikę człowieka i jesteśmy dla jej słabości wyrozumiali — nasuwała się druga ewentualność: nie wracać więcej do zagadnienia, co równałoby się milczącemu przyznaniu racji oponentowi. Ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie odpowiadało prof. Labudzie; zareagował on inaczej. Podtrzymał mianowicie swoje stanowisko z 1959 r. Opowiedziawszy się za nim, tym samym głosił: moje poznanie intuicyjne na wskroś — Gromanna w 1959 r. nie znał — znajduje pełne uzasadnienie w historycznych realiach.

10. Omawiane dzieło — przyznajemy to otwarcie — napisane zostało z pasją. Autora przepełnia głęboka i płomienna wiara w słuszność swojej doktryny⁷. Utrzymuje też w stałym napięciu czytelnika, który z wypiekami na twarzy wertuje książkę od deski do deski. Tak się udziela innym jego namietność, taka moc perswazyjna wywodów. Toż to niemal kryminał Agaty Christie! Czy można powiedzieć większy komplement pod adresem roboty, która jest w zamierzeniu pracą źródłoznawczą lub edytorską? Kiedyż wreszcie — niecierpliwi się czytelnik — dotrę do tej nowo odkrytej kroniki? W tym napięciu utrzymuje go Autor długo, jeszcze w zakończeniu sugerując mu dokonanie „technicznej” rekonstrukcji zaginionego źródła (293). Dopiero w posłowniu (296 -

⁷ Na swoją wiarę w RKD powołał się prof. Labuda w dyskusji, która wyłoniła się po moim referacie, wygłoszonym w Komisji Historycznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w dniu 22 lutego 1984 r. Symptomatyczne przy tym, że nie ustosunkował się w ogóle do zarzutów merytorycznych referenta. Wiara to dobry argument — mniemamy — dla teologów. Ze względu na brak kompetencji na gruncie teologii nie podejmujemy z nim polemiki. Co prawda, prof. Labuda zapewnił równocześnie zebranych, że ma dalsze dowody istnienia RKD. Dzięki takiemu postawieniu sprawy wytworzyła się sytuacja dość osobliwa. Gdy obaliliśmy w swej *Relacji* jego argumentację z 1959 r., nasz adwersarz odpowiedział trzystustronicowym dziełem, w którym przytoczył nowe „dowody”. Gdyśmy w swym referacie starali się wykazać, że to co najwyżej poszlaki i to nader wątpliwe, utrzymuje, że ma w zanadrzu dalsze argumenty. Ale dlaczego nie pomieścił ich w swym opasłym opus? Czy to nie typowy *regressus in infinitum*?

- 297) wylewa na głowę kubel lodowatej wody: nie łudź się, czytelniku, kroniki nie ujrzysz! Tym samym Autor niejako zakpił sobie z niego, obiecał zrekonstruowaną kronikę — taki przecież tytuł dzieła — a jej nie dostarczył. W miejsce pierwotnego entuzjazmu ogarnia czytelnika uzasadnione chyba oburzenie. I zaczyna lekturę od nowa. Tym razem w myśl hasła *παύειν βράδέωσ*, a więc powoli, z ołówkiem w ręku. Po to, by wykryć, jakimi chwytami posłużył się Autor, że kilka godzin z takim powოდzeniem wodził czytelnika za nos⁸.

11. Dzieło nosi tytuł: *Zaginiona kronika w Rocznikach Jana Długosza*. Tak ujęto go na okładce książki. *Schmutztitel* (1) został już zredagowany szczegółowiej: *Zaginiona kronika z pierwszej połowy XIII wieku w Rocznikach Królestwa Polskiego Jana Długosza*. Do niego dorzucił Autor podtytuł: *Próba rekonstrukcji*. Zakładamy, bo jakże inaczej, że ów podtytuł stanowi część integralną tytułu. Ta właśnie dłuższa postać — ze wspomnianym podtytułem — znalazła się również na wewnętrznej karcie tytułowej (3). Poczytać więc ją musimy za miarodajną. Znając pełny tytuł dzieła, łącznie z podtytułem, zapoznajmy się z treścią pracy.

12. Najogólniej, ale wystarczająco dokładnie, informuje nas o niej znany nam już tytuł. Wskazuje on niedwuznacznie na zamiar Autora rekonstrukcji zaginionej kroniki, której ślady znalazły się widocznie w *Rocznikach Królestwa Polskiego*. Szczegółowych danych — suponujemy — dostarczy nam spis treści (306 - 308). Według niego studium dzieli się na trzy części. Pierwszą zaopatrzył Autor w nagłówek: „Próba rekonstrukcji zaginionej kroniki”; pokrywa się on zatem z podtytułem całej książki. Część II: „Charakterystyka zaginionej kroniki”. Część III: „Rozbiór przekazu Jana Długosza o najeździe Tatarów na Polskę w 1241 r.” Zapoznawszy się z tym układem, czytelnik byłby skłonny mniemać, że w pierwszej partii znajdzie rekonstrukcję zaginionej kroniki albo przynajmniej jej próbę, w drugiej — jej charakterystykę. Tym dwu częściom przeciwstawi się trzecia, będąca — wiemy już — rozbiorem przekazu Długosza o roku 1241. Tymczasem nic z tego, nie tak jest

⁸ Ofiarami urokliwego sposobu pisania prof. Labudy padli dwaj recenzenci, doc. Olejnik i prof. Sobociński. Recenzja pierwszego ukazała się w połowie 1983 r. (por. wyżej przyp. 4), druga w CPH XXXVI, 1984, z.1. Oceny obydwu uczonych są wprost entuzjastyczne. Doc. Olejnik widzi w *Zaginionej kronice* same walory, stanowiące „element twórczego zacytowania”. Znaczenie pracy — sądzi on — będzie z pewnością ogromne. Niemniej pozytywna jest opinia prof. W. Sobocińskiego. Po polemizowalibyśmy z nią chętnie, tym bardziej że Autor przysłał nam kopię swego obszernego artykułu w maszynopisie. Zaznaczył wszakże równocześnie, że nie jest to wersja ostateczna, co uniemożliwia polemikę w momencie powstawania niniejszego tekstu. Jedno jest pewne: prof. Sobociński w stosunku do nas jest usposobiony niszczycielsko. Dodajmy jeszcze, że pogląd Labudy, uznający Gromanną za źródło, podzielił w swej popularyzacyjnej broszurze W. Korta, *Najeźdźcy Mongołów na Polskę i jego legnicki epilog*, Katowice 1983.

w rzeczywistości, oczekiwania nasze doznają kompletnego zawodu. Okazuje się, że nomenklatura podana w dyspozycji nie jest adekwatna do zawartości dzieła. Przekonujemy się o tym, przyglądając się podpodziałom owych części.

13. Wszystkie części podzielone zostały na mniejsze jednostki; nazwijmy je rozdziałami. Część I zawiera ich trzy: 1. Poglądy historyków na dzieło Jana Długosza. 2. Uwagi o technice dziejopisarskiej Jana Długosza. 3. Próba rekonstrukcji zaginionej kroniki. Okazuje się zatem, że tytuł całości dzieła, tytuł jego pierwszej części i nagłówek rozdziału 3 te same części I pokrywają się. Czy taki układ jest właściwy? Dyspozycję powinna cechować pewna hierarchia zagadnień. W niej nie może pojawiać się na różnych stopniach owej hierarchii ta sama nomenklatura. Tytuł każdy jest kondensatem treści, sygnalizuje, o czym mówi cały utwór, jego części, rozdziały, paragrafy, punkty itd. Tymczasem w omawianym dziele jedna i ta sama nomenklatura występuje na trzech stopniach podziału. Tak postępować nie wolno. To nie wywołuje dobrego wrażenia u czytelnika, lecz świadczy co najmniej o braku dostatecznych przemyśleń, a więc również o jakiejś niestaranności roboty. Żeby głębiej wniknąć w zawartość monografii, zapoznajmy się z dalszym ciągiem spisu treści.

14. Część II składa się z pięciu rozdziałów: 1. Forma zapisu, rocznik czy kronika. 2. Treść zaginionej kroniki. 3. Autor, miejsce i czas spisania zaginionej kroniki. 4. Ukonstytuowanie faktu istnienia zaginionej kroniki. 5. Ślady istnienia zaginionej kroniki w innych źródłach. Znowu czytelnik musi wystąpić z poważnymi zastrzeżeniami. Ukonstytuowanie faktu istnienia zaginionej kroniki nie wchodzi merytorycznie — i to zdecydowanie — do części II, mającej stanowić charakterystykę zaginionej kroniki. Te dwa problemy nie mają z sobą nic wspólnego. Istnienie i charakterystyka nie są pojęciami nad- i podrzędnym. Również „ślady istnienia kroniki w innych źródłach” rozdziału 5 nie bardzo są pomocne w charakterystyce źródła, którego — notabene — nie ma. Ponadto zdumiewającą jest rzeczą, że dowód na istnienie zaginionej kroniki znalazł się gdzieś w środku książki (171 - 174). Tymczasem całe postępowanie probacyjne powinno wyprzedzać wszelkie inne operacje, m. in. także rekonstrukcji. Bo jak można ją przeprowadzać, skoro jeszcze Autor nie przekonał czytelnika o tym, że domniemane przezeń źródło w ogóle istniało. Przy każdej hipotezie — podkreślaliśmy to już wyżej — należy się liczyć z ewentualnością negatywną, domysł okazać się może nie-trafny. Rekonstruować (i charakteryzować) mogą jedynie to, co istniało, z niebytem tego rodzaju operacje są niedopuszczalne. I jeszcze jedna rzecz zaskakująca.

15. Prof. Labuda — wiemy — dał osobny rozdział zatytułowany „Ukonstytuowanie faktu istnienia zaginionej kroniki”. Dla jego wywo-

dów rozdział ów ma znaczenie fundamentalne, cała monografia jest na nim osadzona, toż to *clef de voûte* całej konstrukcji. Monografia jego zachowa swą wartość wtedy i tylko wtedy, gdy Autor dokona rzeczywiście ukonstytuowania omawianego faktu. Gdyby tego nie zrobił, opus jego stałoby się bezprzedmiotowe. A tymczasem temu zasadniczemu problemowi, jakim jest istnienie RKD, poświęcił Autor zaledwie trzy stronice na 300 stronic całości. Toż to rażąca dysproporcja. Czyżby na tak małej ich liczbie zdołał Autor zestawić wszystkie zebrane przez siebie dowody, przemawiające za istnieniem RKD? Czy ich tak mało, czy też są aż tak mocne? Nic więc dziwnego, że pierwsze zastrzeżenie, tak co do kontekstu (charakterystyka), jak i co do pozycji w książce (środek monografii), a także skromniuteńka liczba stronic poświęconych kapitalnemu dla dzieła zagadnieniu istnienia kroniki (3 stronice) budzą w czytelniku żywy niepokój. Stwierdźmy ponadto, że niejasny jest dla czytelnika nagłówek rozdziału 5: „Ślady RKD w innych źródłach”; w jakich innych? Okazuje się, że Autorowi chodzi o źródła inne niż Długosz. Wszakże sprawa nie przedstawia się tak jednoznacznie, skoro wszedł do tego rozdziału stosunek *Roczników* zarówno do *Annales Silesiaci compilati*, jak i do katalogów krakowskich biskupów. Znowu zatem zredagowanie omówionego nagłówka trudno uznać za nienaganne.

16. Część III dzieli się na trzy rozdziały: 1. Rekapitulacja metodyczna, 2. Analiza tekstologiczna i źródłoznawcza, 3. Najazd Tatarów na Polskę w świetle przekazu Długosza. Rozdział 1 jest króciutki, zajmuje zaledwie dwie stronice, rozdział 2 — siedem. Gros zatem tej części, bo 82 stronice, poświęcono najazdowi tatarskiemu w 1241 r. Zauważmy, że merytorycznie miejsce części III jest gdzie indziej. Mianowicie Autor, przeprowadzając w części I swoją analizę sposobem rocznikarskim, wydarzenia roku 1241, omówione bardzo szczegółowo, przeniósł właśnie z powodu tej szczegółowości do części III. W istocie stanowi ona wydzieloną tylko przestrzennie część I.

17. Rozdziały — nie wszystkie zresztą — składają się z punktów. One już bardzo szczegółowo informują o tematyce pracy. Najwięcej tych punktów znalazło się w rozdziale 3 części I. Partia ta obejmuje 140 stronic, a więc niemal połowę książki (a do tego dochodzi jeszcze właściwie część III). Punktów wspomnianych Autor nie ponumerował, naliczyliśmy ich 49 (w części III ponumerowanych punktów znalazło się 10). Wiemy już, że ów rozdział 3 części I opatrzył Autor nagłówkiem „Próba rekonstrukcji zaginionej kroniki”. Czytelnik oczekuje zatem owej rekonstrukcji czy choćby jakiejś jej próby, zgodnie z zapowiedzią. Zostaje tymczasem zaskoczony konstatując, że żaden z punktów owej rekonstrukcji nie przewidyje.

18. Całość wieńczy syntetyzujące zakończenie (293 - 295) i króciutkie, jednostronicowe posłowie (296 - 297). Czytelnik nie bardzo chwytą inten-

cję Autora, motywującą ów podział na dwa odrębne segmenty finalne, pisane ostatecznie przez jedną i tę samą osobę, prof. Labudę. Książkę zamykają: wykaz stosowanych skrótów (298 - 300), streszczenie w języku francuskim, rojące się od drukarskich błędów (301 - 302), indeks autorów (303 - 305) oraz spis treści (306 - 308).

II

1. Prof. Labuda podjął w swej pracy — jak to sam stwierdza — trop Aleksandra Semkowicza (19), idzie w jego ślad „nieco lepiej uzbrojony” (215), od niego przejął rocznikarską formę analizy (297). Semkowicz tymczasem w swoim *Rozbiorze krytycznym* żadnej rekonstrukcji zaginionych źródeł nie dokonał. To nie leżało w ogóle w jego intencjach. Zdawał sobie widocznie sprawę z trudności czy może nawet daremności podobnego zamierzenia. Na czym polega robota owego uczonego, mówi we wstępie sam: „wyłącznie na porównywaniu tekstów”, tzn. *Roczników* Długosza, z zachowanymi dawniejszymi pomnikami. Zaplanowaną przez siebie robotę wykonał Semkowicz tak starannie, że niełatwo wnieść do niej coś nowego. Liczba zapisów źródłowych, których by on nie znał, jest minimalna. Tymczasem dla *Rozbioru krytycznego* istotne jest wskazanie źródeł, z których Długosz korzystał. Pod tym względem — siłą rzeczy — prof. Labuda z pewnością nie kontynuuje pracy swego wielkiego poprzednika.

2. Obok wskazania źródeł, z których najprawdopodobniej czerpał Długosz, Semkowicz zestawiał literaturę dotyczącą zagadnień, o których traktują omawiane przezeń teksty. Literatura ta w ciągu stu lat, ubiegłych od chwili ukazania się *Rozbioru*, narosła znacznie. Przed prof. Labudą otwarło się zatem pole do popisu. Ale sprawia nam nieraz zawód. Porównaliśmy dla przykładu objaśnienia obydwu uczonych dla 1197 r. Konfrontacja nie wyszła na korzyść prof. Labudy, ziarno wymłócił już Semkowicz, Autor nie ma nic od siebie do dodania. A w takim razie nasuwa się pytanie, po co drukować tekst, który nie wnosi niczego nowego.

3. Znaleźliśmy się zatem w sytuacji następującej: prof. Labuda nie dał rozbioru krytycznego dzieła Długosza w sensie Semkowiczowym, bo nie mógł. Uzupełnił w znacznej mierze pracę Semkowicza literaturą, która się pojawiła w ostatnich stu latach. A co z rekonstrukcją tyłokrotnie zapowiadaną? Do niej — wiemy — nie mógł dojść metodą Semkowicza. Żeby sobie uprzytomnić oryginalność omawianej monografii, wróćmy ponownie do *Rozbioru krytycznego*.

4. Mimo olbrzymiego, nadludzkiego wprost mozołu, którego podjął się Semkowicz, nie zawsze udało mu się znaleźć źródła informacji Długosza.

Nie miał zatem materiału do porównań. W tych warunkach nasuwały się dwa rozwiązania: 1) Długosz czerpał z nie znanego dziś źródła, 2) wiadomość jest wymysłem naszego dziejopisa, stanowi dokonaną przezeń amplifikację. Przedstawmy robotę Semkowicza w następującym schemacie (zdajemy sobie zresztą sprawę z tego, że wymagałby on pewnego uzupełnienia i zniuansowania, ale dla naszych wywodów jest wystarczający):

Długosz	informacja	źródło
A	a	Gall-Anonim
B	b	Mistrz Wincenty
C	c	nieznane źródło
D	d	Kronika wielkopolska
E	—	amplifikacja
F	f	nieznane źródło
G	—	amplifikacja

O tym nieznanym, zaginionym źródle Semkowicz — co zrozumiałe — nie orzeka nic. W każdym razie w jego ujęciu owa niewiadoma nie jest jakimś jednym jedynym źródłem. Pod nią kryje się nie oznaczona bliżej liczba prawdopodobnie istniejących tekstów: X^1 , X^2 , X^3 , ..., X^n .

5. Oba pojęcia, nieznane źródło i amplifikacje, nie są również obce prof. Labudzie. Wszakże pewne informacje z lat 1202–1260 przypisuje on nie jakiemuś bliżej nie określönemu źródłu X, jak Semkowicz, lecz konkretnej, co prawda również zaginionej, lecz przez siebie odkrytej: rocznikowi-kronice dominikańskiej. O jej istnieniu był głęboko przekonany już przed ćwierć wiekiem. Jego pewność siebie wzmogła się obecnie kolosalnie, RKD rysuje się Autorowi w kształtach realnych, mimo wywołanych protestów. Dał nawet — wiemy już — osobny rozdział zatytułowany „Ukonstytuowanie faktu istnienia zaginionej kroniki”.

6. W nim pomieścił Autor jeden źródłowy, a więc dla historyka mocny, wydawałoby się, argument przemawiający za jego tezą. Stanowić go ma lista prowincjałów zakonu dominikańskiego, wzmiankująca o *quedam annalia* czy *alia annalia*. Wszakże skąd pewność, że pod tymi annaliami rozumiał pisarz RKD? Jaskrawy kontrargument znajdujemy w piśmie Innocentego IV z 1252 r., dotyczącym kanonizacji biskupa Stanisława. Odsyła ono do jakichś *liber cronicorum* i *liber annalium*, a z pewnością nie dotyczy RKD, skoro ta — zdaniem Labudy — powstała dopiero po 1260 r. Podobnie ze zwrotem *Kroniki wielkopolskiej: prout in annalibus historiis continetur*, przytaczanym przez Autora parokrotnie (21, 108, 111, 182). Chodzi tu o nie znane skądinąd roczniki, stwierdza tenże uczony (111), a więc nie o RKD. (Pomińmy już fakt, że na innym miejscu wyraża prof. Labuda pogląd o czerpaniu przez *Kronikę wielkopolską* wiadomości właśnie z RKD!). Tadeusz Wojciechowski mniemał, że zachowała się tylko 1/3 lub 1/5 istniejących niegdyś roczników. Sam prof. Labuda pisze o zaginionych rocznikach plockim i mogileńskim, o jakiejś

zaginionej kronice polskiej, o zaginionych zapiskach. *Alia annalia* listy prowincjałów, to zatem z pewnością jakieś zaginione pomniki, ale niekoniecznie RKD. Ścieśniająca interpretacja jest czystą dowolnością, której nijak uzasadnić się nie da. Tym samym argument przytoczony nie stanowi przekonującego dowodu.

7. Prof. Labuda proponuje inne jeszcze „dowody” na korzyść swej tezy. Charakterystyczne jednak, że nie znalazły się one w owym centralnym, wydawałoby się, rozdziale, lecz — jak stwierdziliśmy wyżej — rozsypane zostały po całym dziele. Wśród nich pojawiły się wypowiedzi następujące: „Ponieważ z żadnej ze znanych nam kronik i roczników kronikarz wielkopolski niczego konkretnego o tych walkach (Henryka Brodatego z Prusakami) dowiedzieć się nie mógł, nie pozostaje nam nic innego, jak dopatrywać się źródła tej wiedzy w zaginionej kronice” (182). Ta argumentacja nie zdobędzie sobie naszego aplauzu, stanowi bowiem klasyczny przykład na *petitio principii*. I zaraz następny: „Bez teorii zaginionego źródła się nie obejdziemy. Fakt jego istnienia w odniesieniu do czasów 1202 - 1260 uważam za dowiedziony” (200)⁹. Naszym zdaniem „teoria zaginionego źródła” niczego przesądzić nie zdoła, nie stworzy bynajmniej faktu. Nic tu dowiedzione nie zostało. Rzecz opiera się na dokonaniu nieuprawnionych przejść do tego, *quod erat demonstrandum*. Argumentacja przebiega według zawodowego schematu rozumowania. Na tym wszakże nie koniec.

8. Rozdział kończy się konkluzją: „Przyjmowany przez Semkowicza postulat istnienia nieznanego źródła możemy w tej chwili podnieść do rzędu pewności” (215). I tak, i nie! Przeprowadzić bowiem należy pewne *distinguo*. Obawiamy się, że prof. Labuda usiłuje zapisać na swój benefit dwuznaczność wyrażenia: nieznane (zaginione) źródło. Dla Semkowicza — wiemy już — znaczy to jakieś bliżej nie określone, do naszych czasów nie dochowane zapisy. Prof. Labuda tymczasem przez zaginioną kronikę rozumie jeden jedyny pomnik, swoją domniemaną RKD. To nie to samo. Zgodność opinii obydwu uczonych, Semkowicza i Labudy, jest więc tylko pozorna. Drugi, pisząc o nieznanym źródle, nie myśli bynajmniej tego samego, co Semkowicz. Czyżby tego nie dostrzegł? A jeśli tak, czyżby liczył na naiwność czytelnika aż tak daleko posuniętą? Sądząc po recenzji, która się ukazała w połowie 1983 r., robi to z powodzeniem.

9. Nie jest też niczym innym jak przejawem woluntaryzmu Autora zapewnienie: „Gros informacji pochodzić musiało z zaginionego źródła, to jest z zaginionej kroniki dominikańskiej (RKD) (158). A już szczytem rozbratu z logiką będzie rozumowanie przeprowadzone odnośnie do polskich zdań legnickich. Prof. Labuda przyznaje wprost: „nie mamy żadnej

⁹ Na lep tego wadliwego sylogizmu dał się wziąć doc. Olejnik.

możliwości zweryfikowania autentyczności sceny, w toku której omawiane tu zdania zostały wypowiedziane” (292). Trudno o bardziej wyrażne wyeksponowanie bezsiły historyka wobec milczenia źródeł. Tymczasem parę wierszy dalej prof. Labuda zapewnia o historyczności owych zdań, „o zaufaniu dla prawdomówności świadka tej sceny”. Przecież cały przebieg wydarzeń pod Legnicą, łącznie z uczestnictwem owego świadka, Iwana Iwanowicza, jak to Autor słusznie stwierdził, nie da się zweryfikować! „Polscy językoznawcy — konkluduje autor — mogą ze spokojem uznać historyczne słowa księcia Henryka [...] za pierwsze polskie zdanie zapisane w źródłach” (292). Jak dotąd, dowodu na to brak, prof. Labuda żadnego nie dostarczył. Co więcej, stwierdził nawet sam, że możliwości weryfikacji nie ma. Ze swej strony przeto radzilibyśmy językoznawcom — jeśli wolno — być wyjątkowo ostrożnymi z akceptacją tezy Labudy. Stanowi ona klasyczny przykład *piissimum desiderium* Autora.

10. Wiele swoich wadliwych sylogizmów — a nie wyczerpaliśmy ich bynajmniej wszystkich — przeplata prof. Labuda zapewnieniami, że zaginiona kronika istniała, że ją Długosz znał, że zrobił z niej notatki i ją w dziele swym referował (47, 63, 197)¹⁰. Tymczasem nic go nie uprawnia do owych afirmatywnych sformułowań. Autor przemycza po prostu tezę, którą winien był udowodnić. Innymi słowy: domysł obrósł mchem i przerodził się pod jego piórem w pewnik.

11. Wreszcie argumentem przemawiającym za istnieniem RKD ma być piszący w latach 1810/1811 Carl Gromann. Z tym dowodem rozprawiliśmy się przed paru laty. Sądziliśmy, że usunęliśmy go z pola widzenia historyka raz na zawsze. Tym bardziej że spotkaliśmy się z akceptacją swego stanowiska przez recenzenta, który ujął rzecz niedwuznacznie: „Józef Matuszewski [...] hat die Prämissen dieses kunstvollen Bauwerks einer sorgfältigen quellenkritischen Analyse unterworfen — und es wie ein Kartenhaus zusammenbrechen lassen”¹¹. Tymczasem pod piórem prof. Labudy Gromann odradza się ponownie jak Feniks z popiołów. Autor winduje go na znakomitość historiograficzną; jego zdaniem stanowi on nawet — wiemy to — źródło lepsze niż Długosz. Krytycznie wypowiedzieliśmy się na ów temat szczegółowo w 1980 r. Autor zapoznał się z naszą *Relacją*. Ale ufny w swoją mocną pozycję w świecie historycznym, nie wziął jej niemal pod uwagę w swych rozważaniach, polemiki szczegółowej z nami nie przeprowadził; widocznie nie widział potrzeby. To jego prawo. Píše nawet z jawnym lekceważeniem: „Józef Matuszewski dawno już zerwał kontakt z konkretnymi tekstami (z elaboratem Gromanna?), a tym samym obraca się w jakimś wydumany polu dyskusyjnym” (257). Zopomniał widocznie o tym, co sam kiedyś

¹⁰ Tekst na s. 296 sugeruje nawet, że *Annales* są przeróbką RKD!

¹¹ W. Irgang, por. wyżej przyp. 6.

utrzymywał: „w sprawach spornych prześledzenie dyskusji i rozważenie wszystkich argumentów jest zabiegiem koniecznym przed powzięciem konkluzji”¹². Tego tymczasem nie zrobił. Takie postępowanie naszej *Relacji* bynajmniej nie zaszkodzi, ale czy na tym nie tracą wywody prof. Labudy? Czy to czasem się nie zemści? Bo któż z nas może powiedzieć o sobie: moje magisterium jest *infallibile*? Przyjrzyjmy się, jak uzasadnia obecnie swoje stanowisko prof. Labuda.

12. Zdaniem jego „Gromann w swej warstwie faktograficznej wykazuje znamienne pokrewieństwo ze szczegółami przekazanymi w Raciborzu przez zaginioną kronikę dominikańską (RKD) w wersji Długosza” (295). Toż to nowy *circulus vitiosus*! Skąd prof. Labuda wie o tym pokrewieństwie, skoro RKD się nie zachowała, a jej rekonstrukcji w wersji Długoszowej daremnie szukamy w omawianym opus. Wszakże nie zamierzamy do tych spornych zagadnień wracać. Musielibyśmy bowiem powtórzyć to, co napisaliśmy w swej *Relacji*. Prof. Labuda poza powołanym wyżej argumentem przytacza jeden tylko nowy dowód źródłowy, zresztą dość osobliwy, który ma podpieierać jego dobre mniemanie o Gromannie. Stanowić go ma fragment poematu śląskiego pisarza renesansowego, niejakiego Pankracego Vulturinusa. On to, opierając się na Strabonie (!), pisał o ucieczce spod Raciborza na piętach końskich (!) Massagety, uważanego za Tatara. Ku zdumieniu czytelnika poeta, piszący z początkiem XVI w. — podkreślamy: poeta! — staje się nagle dla prof. Labudy źródłem do wydarzeń sprzed 250 lat. A jak prof. Labuda wpadł na owego Pankracego Geyera? Na niego powołał się Gromann! Takim zaufaniem cieszy się ów historyk-amator u prof. Labudy, że służy mu nawet jako przewodnik bibliograficzny. Rozumiemy dobrze, że dla „historyka” z początku XIX w. stanowił Vulturinus miarodajne źródło, ale dla dzisiejszego historyka-zawodowca? Tego pojąć nie jesteśmy w stanie. Tymczasem prof. Labuda konkluduje: „Wszystko to oznacza pełną rehabilitację Gromanna” (284), „relacja Gromanna sama się zweryfikowała” (276¹³ 717). Ale zostawmy Gromanna w spokoju. Nie zasługuje on na tyle stronic, które mu Autor poświęcił i poniekąd nas zniewolił do tego samego¹⁴. W każdym razie i ten trzeci dowód odpada.

¹² G. Labuda, *List papieża Paschalisa II*, Sobótka 26, 1971, s. 416.

¹³ Przyznajemy, że nie bardzo pojmujemy, na czym polega owa autoweryfikacja. Dorzućmy, że w innym kontekście pisze Autor o samokorekcie (127), a na trzecim miejscu czytamy o Iwanie Iwanowiczu, że się sam obronił (247). Autoweryfikacja, autokorekta i autoapologia stanowią widocznie jakieś Autorowi właściwe panacea na źródłowe luki.

¹⁴ Prof. Labuda czyni nam wyrzuty, że nie podjęliśmy interpretacji Gromanna. Tymczasem stanowisko swoje uważamy za uzasadnione w pełni. Uważając pracę Gromanna za historyczny bohomaz, nie zamierzamy poświęcać jej dodatkowego trudu. Przynajmniej dopóty, dopóki Autor nie dowiedzie, że Gromann korzystał rzeczywiście jeśli już nie z trzynastowiecznych, to przynajmniej z czternastowiecz-

13. W rezultacie żaden z trzech przytoczonych argumentów nie wykazuje właściwości, które byłyby w stanie przekonać krytycznego czytelnika: ani odesłanie do *alia annalia*, ani wadliwa sylogistyka, ani Gromann ze swym rymopisem, Sępem-Vulturinusem. To z pewnością nie dowody zniewalające, lecz co najwyżej poszlaki; poszlaki zresztą wyjątkowo słabe. A procesualiści wiedzą dobrze, że nawet sto poszlak nie stanowi jednego dowodu.

14. Stanowisko nasze jest niedwuznaczne. Przyjmujemy za Semkowiczem i innymi historykami głoszoną od dawna tezę o istnieniu jakichś źródeł zaginionych, z których czerpał Długosz, a których my dzisiaj nie znamy. Pogląd ten podziela zresztą — wiemy — i prof. Labuda. Natomiast hipotezą ostatniego badacza, że wśród nich znajdowała się RKD, stanowi jego osobisty domysł, niczym dotąd nie poparty. Supozycja pozostaje dalej supozycją, RKD jest stale hipotezą. Zapewnianie czytelnika, i to wielokrotnie, o jej egzystencji nie zmienia owego domysłu w pewnik. Obawiamy się, że Autor pada tu ofiarą autosugestii. Pewności co do istnienia RKD nie osiągamy z tej racji, że jej dotąd nikt nie odkrył! Ale w takim razie po co krok dalszy, zamierzona rekonstrukcja? Rekonstrukcja zabytku, który, być może, nie istniał nigdy. Wszakże prof. Labuda mniema, że z powodzeniem przeprowadził swoje postępowanie probacyjne. Ufny w swoje argumenty, wierzy w jej realną egzystencję¹⁵. Skoro ocena dowodów jest ostatecznie sporna, by okazać swoją najlepszą wolę, pójdźmy na ustępstwo. Załóżmy za nim, że tę kronikę dominikańską ktoś rzeczywiście kiedyś zredagował.

15. Prof. Labuda przystąpił do poszukiwania RKD. O tej robocie pisze na paru stronicach (65, 165, 173). Zatem: kronika zaginiona, kronika poszukiwana. Poszukiwania te doprowadziły widocznie do pozytywnego rezultatu. Tak można by mniemać, skoro Autor w pewnym momencie oświadcza, że tę zaginioną kronikę zrekonstruował (163, 176, 192). Mamy zatem do czynienia z dalszym stadium badań: kronika zaginiona, kronika poszukiwana, kronika zrekonstruowana. Ale gdzie ta rekonstrukcja? Dzieło prof. Labudy przestudiowaliśmy gruntownie, znamy wszystkie jego składniki. Żaden punkt dyspozycji — a są one, wiemy, szczegółowe — nie sygnalizuje tej rekonstrukcji. Czyżby nie było jej w ogóle? Posłuchajmy ważkiego oświadczenia Autora w posłowie.

nych zabytków. Jak dotąd, dowodu takiego nie dostarczył. Wobec tego wnikanie w opowieść Gromanna uważamy po prostu za stratę czasu. Tym bardziej że prof. Labuda stwierdza sam, iż Gromann nie wahał się okraścić tej swojej opowieści o najeździe Tatarów własnym domysłem (273, 275-276), a o wycofaniu się Tatarów spod Raciborza nie podał dokładniej swoich dwu informacji, czego „prawdziwie należy żałować” (270).

¹⁵ Por. wyżej przyp. 7.

16. „Pełni podjętej analizy i pełni obrazu zaginionej kroniki zadośćuczyniłby — akcentujemy: zadośćuczyniłby — jeden dodatkowy wysiłek: rekonstrukcja jej tekstu” (296). „W sumie otrzymalibyśmy — podkreślamy użycie trybu warunkowego po raz drugi — kilkadziesiąt stron tekstu, co musiałoby — znowu *conditionalis* — znacznie powiększyć już i tak niemałe rozmiary tej rozprawy” (297). Powodowany widocznie owym motywem oszczędności papieru, zresztą bardzo chwalebnym, prof. Labuda nie dołączył rekonstrukcji do swej publikacji. A więc jeszcze w zakończeniu *chronica reconstituta* (293); trzy strony dalej, w posłowniu: *chronica non reconstituta, sed reconstituenda* (296 - 297). Czy w tej niecodziennej sytuacji jakikolwiek komentarz potrzebny? Czytelnik bezradnie załamuje ręce i zapytuje ponownie, dlaczego Autor dał taki wprowadzający w błąd tytuł całemu dziełu i dwu jego częstkom. Co więcej, uświadamia sobie w tym momencie, że przytoczony ostatnio *passus* przekreśla w istocie całe Labudowe *opus historicum*. W końcu zapędził Autor nie tylko czytelnika, ale i — przede wszystkim — siebie w ślepy zaułek.

17. A dlaczego tej rekonstrukcji nie wykonał? Czyżby naprawdę ze względu na oszczędność papieru? Zwłaszcza że znalazł się mimowoli w pozycji dość niezręcznej. Czyni bowiem wyrzuty uczonym tej klasy, co Tadeusz Wojciechowski, Smolka, David, że zabrakło im cierpliwości, a może nawet inwencji, aby dokonać rekonstrukcji zaginionej kroniki (19). Nam się wydaje owa rezygnacja z pierwotnego zamierzenia jasna: prof. Labuda po prostu zagalopował się, obiecał coś, czego wykonanie nie jest możliwe. I w tym się w końcu zorientował, co go skłoniło do rejterady. Szans rekonstrukcji nie ma bowiem żadnych i to w świetle wywodów samego Autora, jak to wykazemy niżej. Zanim przejdziemy do uzasadnienia swego stanowiska, spróbujmy — by ratować omawiane dzieło — przedstawić inne wyjście z trudności, które swoim piórem stworzył prof. Labuda.

18. *Chronica reconstituta, chronica non reconstituta*. Obie te wypowiedzi wyłączają się wzajemnie. Czyżby Autor stał na bakier z logiką? A może istnieje inne rozwiązanie dylematu? Autor używa terminu rekonstrukcja w dwu różnych znaczeniach. Rozpatrzmy tę ewentualność.

19. W jednym z nich, w posłowniu, używa Autor tego wyrazu zgodnie z polszczyzną potoczną: rekonstrukcja — odbudowa, jak to definiuje słownik wyrazów obcych; rekonstruować — na powrót budować to, co przestało istnieć. Robotą rekonstrukcyjną zabytku historiograficznego polegać musi na odtworzeniu tekstu. Takiej rekonstrukcji Autor z pewnością nie dał. A w drugim znaczeniu? Rozejrzyjmy się w rozdziale 3 części I zatytułowanym — wiemy już — „Próba rekonstrukcji zaginionej kroniki”. Co w nim Autor zawarł? Przede wszystkim rzuca się w oczy fakt, że przeprowadza w nim analizę wydarzeń z lat 1182 - 1201, a tymczasem

RKD w jego koncepcji rozpoczynała się z rokiem 1202. Do tej parustronicowej partii rozdziału tytuł nie pasuje zupełnie. Dalej zauważyliśmy, że istotnym składnikiem omawianego rozdziału jest część III, zatytułowana: „Rozbiór przekazu Jana Długosza o najeździe Tatarów na Polskę w 1241 roku”. Wyłączył ją Autor z kontekstu jedynie ze względu na rozmiary. Czytelnika frapuje jedno, i to rzecz niebłaha: te same dociekania Autor nazywa raz próbą rekonstrukcji, raz rozbiorem. Wszakże nie tylko w tytułach obydwu objątków napotykamy ową niczym nie uzasadnioną rozbieżność. Także na innych miejscach stwierdza prof. Labuda, że dokonał rozbioru krytycznego *Roczników* Długosza (201), że przeprowadził analizę fragmentów tych *Roczników*, odnoszących się do lat 1182 - - 1260 (210). Te same wyrazy, „analiza” i „rozbiór”, pojawiły się również na stronie 137. Dla Autora zatem „rekonstrukcja” w tym drugim znaczeniu to tyle, co „rozbiór”, „analiza”. Tak to wygląda w świetle własnych wypowiedzi prof. Labudy.

20. Utożsamianie rozbioru z rekonstrukcją znajduje w wywodach Autora jakieś uzasadnienie. Dokonując mianowicie swojej analizy metodą rocznikarską, stawia on w pewnych wypadkach domysł, że informacja Długoszowa, dla której daremnie szukamy podstawy w tekstach zachowanych, o której pisał Semkowicz, że pochodzi z nieznanego źródła, wywodzi się z RKD. W rezultacie — jeśli dobrze rozumiemy „deliberację” Autora, co, przynajmniej szczerze, nie zawsze jest rzeczą łatwą — rozbiór czy analiza *Roczników* z odesłaniem do hipotetycznej RKD stanowi dla niego rację posługiwania się wyrażeniem: próba rekonstrukcji. To chyba byłaby owa techniczna rekonstrukcja. Taki pomysł terminologiczny nie przyszedł nigdy do głowy Semkowiczowi, bo wówczas ile by on dokonał rekonstrukcji nieznanymi źródłami! Wszakże przy takim tylko rozumieniu wywodów prof. Labudy ratujemy go od zarzutu, że przeczy sam sobie, utrzymując raz, że dokonał rekonstrukcji, to znów, że jej nie dokonał. Tylko wówczas zrozumiałby jest sens jego wypowiedzi, że zebrał RKD w nową całość (293). Szkoda jedynie, że idąc wiernie w trop Semkowicza, nie zestawiał choćby akapitów tych ustępów *Roczników*, które — jego zdaniem — stanowiły przejętek z RKD. Dopiero wówczas miałby prawo mówić o rekonstrukcji materiałowej. Z tekstu pomieszczonego na s. 30 - 159 (pomijając już część III) niełatwo się w tym zorientować; a tymczasem to problematyka dla studium istotna. Bez tego uzupełnienia zapewnienia Autora zawisają w próżni.

21. Konkludujemy: rozumienie drugie terminu „rekonstrukcja” jest niewątpliwie swoiste, tylko prof. Labudzie właściwe. Mamy zatem do czynienia z semantyką stanowiącą wynalazek Autora, z jego indywidualizmem. Według naszego odczucia wyraz „rekonstrukcja” stał się u niego patologicznie dwuznaczny. Tę jego dwuwartościowość w *Zaginionej kronice* pragniemy mocno podkreślić. Bez uprzytomnienia jej sobie czytelnik

nijk z lektury dzieła nie wybrnie. Ona stanowi dla odbioru ciągle źródło nieporozumień. Ów nieściśły rzeczownik, frapujący wyobraźnię czytelnika, wzbudził w nim nadzieję, której Autor nie zaspokoił. Czytelnik oczekuje odkrycia nie znanej dotąd kroniki; jego zapowiedź znalazł i w podtytule, i dwukrotnie w podpodziałach. Otrzymał tymczasem rozbiór *Roczników* z odesłaniem do suponowanej RKD. To się w języku omawianej monografii nazywa „rekonstrukcją techniczną”. Zawodu tego można było czytelnikowi oszczędzić, używając słownictwa adekwatniejszego, takiego, jakim posłużył się Semkowicz; takiego zresztą, które znalazło się również pod piórem Autora. O terminologię — wiadomo — nie warto toczyć boju. Wszakże na wskazaną dwuznaczność należało koniecznie zwrócić uwagę pod sankcją niezrozumienia wywodów Autora.

22. Wiemy już, że omawiane dzieło składa się w istocie z dwu partii: 1) z rozbioru *Roczników* Długosza, rozbioru nazywanego też próbą rekonstrukcji (cz. I+cz. III) oraz 2) z charakterystyki zaginionej kroniki, RKD (cz. II). Ponieważ — wiemy — RKD się nie zachowała, chodzić może w części drugiej jedynie o charakterystykę jej rekonstrukcji. Niewątpliwą przy tym jest rzeczą, że charakteryzować można wyłącznie rekonstrukcję w znaczeniu pierwszym, wskazanym wyżej. Zestaw przypuszczeń odsyłaczowych od Długosza do RKD nie nadaje się do tego celu zupełnie. I tu zdumienie ogarnia czytelnika w tej szczególnej sytuacji. w jakiej się znalazł. Uprzytomnijmy sobie ją ponownie: źródło się nie zachowało, autor go nie odtworzył, a mimo to dokonuje jego charakterystyki. Toż to fenomen naszego dziejopisarstwa czy europejskiego pisarstwa historycznego w ogóle. Taka rzecz może pojawić się tylko u nas!

23. Dokonana konstatacja zwalnia recenzenta od dalszych uwag. Skoro jednak prof. Labuda poświęcił tyle stronic owej charakterystyce (160 - 200), przyjrzyjmy się temu, co się w nich znalazło. Domyślamy się z góry, że będą to rzeczy zaskakujące; inaczej w przedstawionych warunkach być nie może. Bo — powtórzmy — co można orzekać o zabytku, który się nie zachował i którego dotąd nikt nie zrekonstruował? A przy tym liczyć się trzeba z ewentualnością, że owa charakterystyka może okazać się przedwczesna. A nuż Autor zmieni swój pogląd na nią po obiecanej edycji owej rekonstrukcji tekstowej?

24. Autor przesądza o treści RKD; są to z konieczności jego domysły. Z nich też jedynie wynika domniemany zasięg czasowy domniemanej kroniki, miejsce jej redakcji i miejsce przechowania. Przypuszczeniem jest również czas spisania RKD. A propos czasu redakcji krótka dygresja. Prof. Labuda stwierdza, że zaginiony pomnik sięgał od 1202 r. aż po schyłek lat pięćdziesiątych XIII w., ewentualnie objął jeszcze lata 1264/65. Tym samym powstać mógł dopiero w szóstym, czy nawet siódmym dziesiątku tego stulecia (158 - 159, 170, 174). Tymczasem w tytule dzieła czytamy: *Zaginiona kronika z pierwszej połowy*

XIII wieku! Po co ta rozbieżność ewidentna? Jak mógł Autor jej nie zauważyć? Prof. Labuda pisze: poprawiać można Długosza przy pomocy samego Długosza (119). Czytelnik musi tu poprawić Labudę przy pomocy samego Labudy.

25. Spokoju nie dawało nam zagadnienie, skąd wzięła się ta rozbieżność. Wydaje się, że jej rację odnaleźliśmy. Przed ćwierć wiekiem prof. Labuda datował RKD na lata 1241 - 1250, a więc rzeczywiście na pierwszą połowę XIII stulecia. Obecnie przesunął datę jej powstania na lata sześćdziesiąte tegoż wieku, o czym widocznie zapomniał. Stąd ta rażąca niezgodność: co innego znalazło się w tytule, co innego w tekście dzieła. Zatem tytuł książki należy koniecznie poprawić na: *Zaginiona kronika z drugiej połowy XIII wieku*. On dopiero zgodny będzie z obecnym poglądem Autora na chronologię RKD.

26. Prof. Labuda przesadza niemal o autorze RKD. I znowu konieczna mała dygresja. W 1959 r. nie ustalił on autorstwa owej zaginionej kroniki. Wobec tego, w przystępie humoru, „nicht ohne Sarkasmus”, podsunęliśmy mu kandydata do tej funkcji w osobie dominikanina z raciborskiego konwentu, Wincentego, który w latach 1246 - 1263 działał na niwie pisarskiej. Prof. Labuda podchwycił tę myśl, nasz kandydat — według poglądu Autora „kondycji poddańczej” (169) stał się dla niego w 95% pewnym autorem niepewnej RKD (151 - 171, 293 - 294), choć hipoteza ta — lojalnie prof. Labuda przyznaje — wymaga jeszcze weryfikacji.

27. Autor zdecydował autorytatywnie o formie zapisu RKD. Możemy już z całą pewnością twierdzić, iż poszukiwany przez nas utwór był kroniką, operującą narracją ciągłą z pewnymi dopełnieniami chronologicznymi” (165). Nie odrzeka się jednak tego, by nazywać ją również rocznikiem. To właśnie upoważnia nas do utrzymania skrótowca RKD, który wprowadziliśmy dawniej. Autor wie, że zaginiona kronika dzieliła się na rozdziały (164). A choć rekonstrukcji tekstowej nie dał, nie waha się snuć swoich rozważań nad jej stylem. Ma on być Kadłubkowy czy Wincentiański (166 - 168). Ten styl właśnie przemawia za autorstwem Wincentego.

28. Prof. Labuda zestawia swoją domyslną kronikę, której nie zrekonstruował, z zachowanymi tekstami źródłowymi. Proceder na nasze rozumienie dość dziwaczny. Jak można tak postępować, porównywać to, co nie istnieje, z tym, co jest?

29. Wśród porównywanych zapisów wyróżnia Autor: a) teksty starsze od domniemanej RKD i b) teksty młodsze. Ad a) Sądzi on, że RKD kontynuowała *Kronikę* Mistrza Wincentego (170). Jak to uzasadnić, skoro pierwszej nie ma? Ale niech tak będzie, przyjmijmy, że RKD

rzeczywiście kontynuowała ową kronikę¹⁶. I tu znowu zwykła dla prof. Labudy niekonsekwencja. Na innym bowiem miejscu skłonny byłby poczytać tę swoją RKD za kontynuację *Kroniki węgiersko-polskiej* (164). Co więc ta RKD kontynuuje, *Kronikę* Mistrza Wincentego czy *Kronikę węgiersko-polską*? Należało się w końcu na coś zdecydować i wybór ograniczyć do jednego tylko zabytku, zwłaszcza gdy są one tak odmiennie.

30. Przy drugiej ewentualności, tzn. przy założeniu, że RKD jest kontynuatorką *Kroniki węgiersko-polskiej*, rodzi się trudność nowa, co zmusza do następnej dygresji. *Kronika* Mistrza Wincentego jest z pewnością starsza od hipotetycznej RKD, której redakcję — wiemy — kładzie prof. Labuda na siódmy dziesiątek XIII w. A jak z *Vita sancti Stephani*? Pomijamy już to, iż zdaniem Dąbrowskiego jest to źródło stosunkowo bardzo niskiej wartości. Co tu ważne, sporna jest data jej powstania. Zdaniem prof. Labudy redakcję jej w pierwszej połowie XIII w. uznać należy za rzecz pewną (164). Twierdzenie to nie stanowi wyniku własnych badań Autora; idzie on w tym wypadku — jak sam podaje — za Dąbrowskim. Tymczasem ów historyk, przywołując opinie ostatnich badaczy zabytku, Anglika Macartneya i Polki Brygidy Kürbis, umieszcza go „silnie” w drugiej połowie XIII w. Gdy jeszcze wziąć pod uwagę zdanie P. Davida: „elle (la chronique hongaro-polonaise) ne saurait être antérieure aux premières années du 14^e siècle”, zawahamy się poważnie w przyjęciu tezy prof. Labudy o powstaniu jej w pierwszej połowie XIII w. i — co więcej — uznaniu tego za rzecz pewną. Przy proponowanej przez Dąbrowskiego chronologii *Kronika węgiersko-polska* powstałaby mniej więcej równocześnie z RKD albo po niej. W obydwu wypadkach nie mogłaby być kontynuatorką owej *Vita*. Dlaczego prof. Labuda — zapytamy — na upragnioną przez siebie tezę o starszeństwie *Kroniki węgiersko-polskiej* powołuje autora głoszącego coś innego? Praca historyka polega w dużej mierze na wzajemnym zaufaniu. Czy w tych warunkach czytelnik ma każdą jego notkę sprawdzać? Czyżby Autor nie zdawał sobie sprawy z tego, że postępując we wskazany sposób stwarza robotę dla innych? W każdym razie — widzimy — lektura jego dzieła wywołuje ciągłe protesty. Wróćmy do tematu.

31. Ową zaginioną RKD, rzekomo zrekonstruowaną, prof. Labuda nie tylko mianuje kontynuatorką dwu starszych (?) kronik, ale zestawia również z młodszymi źródłami zachowanymi. Przechodzimy zatem do punktu b). Dowiadujemy się tu, że obok celu, na który wskazaliśmy wyżej: rekonstrukcji RKD, czego Autor nie dokonał, stawiał on sobie

¹⁶ Nasuwają się poważne zastrzeżenia co do samego problemu kontynuacji; nie chcemy tutaj w nie wchodzić.

zadanie dalsze: dać — cytuję — „odповідź na pytanie, czy w krórejś z kronik trzynasto- lub cztertnastowiecznych nie znajdziemy śladu korzystania ze zrekonstruowanej przez nas kroniki zaginionej” (175 - 176). Prof. Labuda wie, kto z niej korzystał. Znalazł jej ślady zarówno w *Kronice wielkopolskiej*, w *Annales Silesiaci compilati*, w *Roczniku Krasieński*, a przede wszystkim u Długosza. Ostatni posługiwał się RKD przy opisie bitwy pod Legnicą.

32. Autor pisze zatem o zabytkach, które czerpały swoje informacje z RKD. A wiemy przecież, że ona się nie zachowała, że jej istnienie jest jedynie hipotetyczne. Gdyby więc domysł miał się okazać nietrafny — a taką ewentualność, wiemy, przy każdej hipotezie należy zawsze brać w rachubę — wszystkie lansowane twierdzenia walą się rzeczywiście jak domek z kart. Ponadto zapytamy, czy wolno równocześnie twierdzić, że rekonstruujemy RKD (głównie) na podstawie Długosza oraz że w *Rocznikach* odnajdujemy ślady owej RKD? Przecież takie rozumowanie to nic innego jak *circulus vitiosus*!

33. Autor posuwa swoje „deliberacje” jeszcze dalej. Nie tylko zna ślady pozytywne RKD w późniejszych źródłach, ale notuje zabytki, w których śladów RKD brak (153). Stwierdza tym samym *negativa*. Ale co takie zapewnienie znaczy: brak w zachowanych źródłach śladów RKD, której nie zrekonstruowano, która, być może, i co nie jest nieprawdopodobne, nie istniała nigdy. Niewątpliwie nie ma tu żadnego ryzyka probacyjnego. Ale też zdanie pozbawione jest wszelkiej wartości poznawczej.

34. Prof. Labuda żywi przekonanie, że rekonstrukcja RKD jest możliwa, acz z niemałymi trudnościami. Co prawda, nie waha się równocześnie konstatować, że „stosunkowo łatwo o dokonanie takiej rekonstrukcji” (296). Jesteśmy generalnie nastawieni sceptycznie do takiej możliwości, jak zaznaczyliśmy to już wyżej. Zważmy jeszcze na dodatkową okoliczność, do której przywiązujemy rolę znaczącą. Skoro Autor pragnie dokonać rekonstrukcji RKD głównie na podstawie Długoszowych *Annales*, domyslać się wolno, że będzie bronił wiarygodności tego dziejopisa, że przedstawi go jako rzetelnego informatora, takiego, któremu można zaufać, informatora — jak się Autor wyraża — *spolegliwego* (234). Bo jeśli nie tak — a Długosz w omawianych wywodach stanowi jeśli nie jedyną, to najgłówniejszą podstawę rekonstrukcji — znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia. Siłą rzeczy — suponujemy — monografia będzie apologią Długosza, apologią podawanych przez niego wiadomości. Bez wiary w jego prawdomówność nie ma mowy o zamierzanej rekonstrukcji. Tymczasem co prof. Labuda wypisuje o Długoszu zdarzenia jednostkowe, zanotowane w rocznikach „rozszerzał i przekształcał do niepoznaki” (154), imiona lub wydarzenia zredukowane

do czystej faktografii wzbogacał objaśnieniami lub nawet własnymi domysłami; powiększanie informacji należy do zwyczaju Długosza. Stwierdza się u niego występowanie wielosłowa i dywagacji. Dziejopis popadał w sprzeczność z własnymi tezami, zapominał o tym, co poprzednio powiedział, wpadał w sidła swej teorii, dopisywał imię swego bohatera „trzeba czy nie trzeba, najczęściej gdzie nie trzeba”. Nie jest on zawsze konkretny, sporo u niego retoryki i gadulstwa. Co gorsza, to gadulstwo jest u niego rzeczą zwykłą. Mechaniczne przesunięcia w zapisie rocznym są dla Długosza typowe (53), wskutek czego pewne fakty zostały u niego dość beznadziejnie poplątane, a także w czasie źle rozmieszczone. Długosz kieruje się przesłankami chronologicznymi sobie tylko wiadomymi, dopracowywał się „własnej wizji chronologicznej” (103), dokonywał zaszeregowania na wycucie w ramach szerszego cyklu (53). Wydarzenia mające swe właściwe miejsca zostały z nich wyrwane i rzucone w zupełnie inny kontekst (35, 110). Przerzuty w czasie dokonują się wstecz i wprzód. Pomyłki sięgają od 3 do 161 lat. Wywołuje to konsternację wśród badaczy (47-48). Mechaniczne błędy chronologiczne spowodowały największe spustoszenie w spistości i rzetelności dzieła (17). Na tym nie koniec ujemnych następstw sporządzonych niewłaściwie w „kuźnicy” Długosza fiszek.

35. Długosz jako ekscerptator i kompilator zajmował czynną postawę wobec przejmowanego tekstu i nadawał mu własną, autorską postać, poddawał tekst intensywniej i ekstensywniej obróbce. Prof. Labuda pisze o szumie informacyjnym i interpretacyjnym; dlatego to zmuszony został do odsiewu plew od zdrowego ziarna. Wreszcie konstatuje otwarcie, że Długosz nie reprodukuje dosłownie źródłowego przekazu, lecz w odpowiedniej parafrazie, a więc — sądzymy — powtarza czerpane ze źródeł wiadomości własnymi słowy. Jak zatem przejść od owej parafrazy do oryginalnej frazy? Czy to w ogóle możliwe?

36. Jedno jest pewne: wywody prof. Labudy trudno poczytać za apologię Długosza. Nie znamy dzieła bardziej dyskredytującego naszego dziejopisa piętnastowiecznego jako źródła historycznego niż ostatnia praca Labudy. Prześcignął on w swym krytycyzmie dawniejszych historyków niemieckich i polskich, nie wyłączając Helcla i Semkowicza. A w takim razie jak można budować coś na takim dywagującym kronikarzu, który — i ta opinia przygwaźdza — „dał nam w sumie dzieło bardziej literackie niż historiograficzne” (12).

37. Mimo tylu zastrzeżeń, i to druzgocących, podniesionych w stosunku do Długosza przez samego Autora — nie wydają się nam one niezasadne — pełni najlepszej woli, nie chcemy wyłączać ewentualności jakiejś rekonstrukcji, choć do zamierzenia owego jesteśmy nastawieni — co akcentujemy — bardzo, bardzo sceptycznie. A wykluczamy wprost

w obecnych warunkach rekonstrukcję literalną, której prof. Labuda jest pewny. Wartości rekonstruowanej ewentualnie w przyszłości kroniki nie chcemy przesądzać przed jej publikacją, na którą czekamy z niecierpliwością. A chyba — to jest nasze wewnętrzne przekonanie — nie ukaże się ona nigdy. W każdym razie nasz sceptycyzm co do możliwości takiej rekonstrukcji sięga wymiarów astronomicznych.

III

1. Kończmy swoje wywody krytyczne. Książka jest. Zamysł prof. Labudy zaowocował; ubrany został w szatę graficzną i zaopatrzony w pełny sztafaż naukowy. Mniejsza o niefortunny tytuł omawianej pozycji oraz inne jej mankamenty, których dopatrzyliśmy się moc, a których moglibyśmy przytoczyć jeszcze dużo więcej. Potknięcia, niekonsekwencje, błędy, sprzeczności i wieloznaczności są w omawianej monografii regułą. A przy tym wszystkim opus nie zawiera obiecywanej wielokrotnie, nawet w tytule, rekonstrukcji RKD, lecz analizę *Roczników* Długosza, komentarz historyczny do nich. Niestety, obfituje on już nie w dziesiątki, lecz setki hipotez. Zestawmy na zakończenie te spośród nich, które odnoszą się bezpośrednio do samej RKD:

1) jej istnienie, 2) zakres czasowy RKD (1202 - 1260), 3) redakcja kroniki w szóstym czy w siódmym dziesiątku XIII w., 4) miejsce redakcji — Kraków, 5) miejsce przechowania rękopisu — krakowski konwent dominikański,

6) autorem RKD Wincenty z Kielc (czy z Kielczy), 7) jego kontaktowanie się z Iwanem Iwanowiczem w klasztorze dominikańskim w Raciborzu¹⁷, 8) charakterystyka zaginionej, a nie zrekonstruowanej kroniki, 9) co RKD kontynuuje? 10) jej ślady w późniejszych źródłach, m. in. w Długoszu, 11) pomniki, w których brak śladów RKD,

12) sporządzenie wypisu z RKD, zawierającego prawdopodobnie tylko fragmenty bezpośrednio dotyczące Raciborza (285⁷⁴⁵)¹⁸ (nie rozpatrzone przy tym zagadnienie, kto, gdzie z początkiem XVIII w. go dokonał), 13) wypis ten znalazł się w Raciborzu (295), 14) z nim (albo z oryginałem RKD?) zapoznał się Gromann, 15) wypis ów to Gromannowe *altes Blatt, alte Forschungen*, 16) Gromann nie znał Długosza (261, 267, 275), choć „zapoznał się gruntownie z wszystkimi reprezen-

¹⁷ „Jest to hipoteza, która ma wszystkie pozytywne przesłanki za sobą” (249). Żebyż Autor przytoczył choć jedną!

¹⁸ Na stronie następnej jest to już dla Autora pewnik (286).

tywnymi drukowanymi kronikami śląskimi poczynając od XVI wieku" (264), 17) Długosz podał wiadomości RKD dotyczące Raciborza w dużym streszczeniu, Gromann ze względu na swe zainteresowania lokalne przytoczył je *in extenso* wraz ze swoimi uwagami i komentarzami (284).

2. Toż to kaskada hipotez. Mamyż w nie wierzyć bez dostarczenia gruntownej argumentacji? Autor jakby zapomniał, że na niego spada *onus probandi*. Wymieniliśmy tych hipotez 17; w rzeczywistości kryje się ich w naszym zestawieniu znacznie więcej. I tak nie wiemy, czy domniemany autor RKD był z Kielczy, czy z Kielc; nie bardzo jesteśmy skłonni wierzyć w Iwana Iwanowicza, jego olśniewające wyczyny wyglądają na zwykłą Długoszową bajeczkę, a pobyt naszego *miles gloriosus* w klasztorze dominikańskim w Raciborzu i kontakt z Wincentym z Kielc należą na razie do rzędu fantazji. Zdumiewa też charakterystyka formy i stylu zaginionej, a więc nie istniejącej, a przy tym — jak wiemy — nie zrekonstruowanej RKD. Jak można doszukiwać się śladów RKD w późniejszych źródłach, przede wszystkim w *Rocznikach*, skoro to na ich podstawie stawiano hipotezę o istnieniu RKD. Prof. Labuda idzie zresztą w swych dociekaniach dalej, zna zabytki, w których brak śladów RKD; a jeśli ona nie istniała w ogóle? Gromann nie znał Długosza, twierdzi Autor. Na czym jest oparty ów negatywny domysł? Z początkiem XIX w., gdy pisał swój elaborat Gromann, znane były dwa wydania *Annales seu cronicae*, obejmujące księgę 7, Huyssena z 1711 r. oraz Mitzlera de Koloff z lat 1761 - 1776. Jak wykazać, iż żadnego z nich nie miał Gromann w swym ręku, zwłaszcza gdy Autor pisze o zadziwiającej zgodności opowieści Gromanna z opowieścią Długosza? Czy więc nie prawdopodobniejszy jest domysł, że któreś ze wspomnianych wydań znał? Tym bardziej że prof. Labuda liczy się ze znajomością przez Gromanna *Silesiacarum rerum scriptores* Sommersberga (265⁶⁹³), wydanych w 1729 r. A jeśli założymy za Autorem, że Gromann nie miał w swym ręku ani Huyssena, ani Mitzlera de Koloff, jakie wyrobimy sobie zdanie o owej znakomitości historycznej — taka opinia Labudy — która nie uwzględniła źródła podstawowego, powszechnie dostępnego w jej czasach, bo drukowanego, a rozczytywała się — rzekomo — w zapiskach trzynasto- i czternastowiecznych? A propos, czy Gromann znał paleografię łacińską? Czy zaufamy temu, co podaje „racjonalne źródło tradycji lokalnej” (253)? Zakończmy swoje uwagi krytyczne fenomenalnym osiągnięciem prof. Labudy: autorstwo trzynastowiecznej RKD usiłuje ustalić na podstawie stylu... Długosza!¹⁹

¹⁹ Pomijamy już wyjątkowo niestaranny język dzieła. Nie chcemy też poruszać kwestii agresywnego sposobu pisania prof. Labudy. Nie oszczędza on nikogo, rozdziela klapsy między Helcla, Semkowicza, Plezię i innych. A już najwięcej dostało

3. Oceniliśmy surowo *Zaginioną kronikę*. Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że to sami sprowokowaliśmy Autora do jej redakcji. W tych warunkach nie jesteśmy bez winy. Bijemy się przeto w piersi, głosząc wszem wobec: *mea culpa*, a może nawet *mea maxima culpa*.

się ich — co oczywiste i czemu trudno się dziwić — autorowi *Relacji*. Znaleźliśmy się dzięki temu w towarzystwie, które przynosi nam zaszczyt. Klapsy zaś przyjmujemy z emerytalno-filozoficznym spokojem.

